



Joanna Vorbrodt Nie ma przypadków

Luna Music 2013

Muzyka: ●●●○○

Realizacja: ●●●○○

Liczne telewizyjne programy, w których konkurują ze sobą wokaliści, marząc o nagraniu własnej płyty, dowodzą, że są u nas kandydaci na gwiazdy. Gdyby zostali dobrze pokierowani przez sprawnych producentów i zadziałałaby promocja, mogliby odnieść sukces. Niestety, nie zawsze tak się dzieje, a tymczasem ze swoimi płytami na rynku pojawiają się niezależni debiutanci, równie ambitni jak uczestnicy konkursów. Przykładem Joanna Vorbrodt.

Jej płyta nie jest zła, ale głos piosenkarki niczym się nie wyróżnia; brak mu charakterystycznej barwy. Denerwują też teksty utworów: „Nie jestem online. Kawalek plazmy międzygalaktycznej. Nie jestem online. Na forum daję z siebie wszystko...” Hm... Zagadką dla mnie są też słowa w nagraniu „Idą górnikami drogą”. Tam z kolei autorka zaczyna od wyjaśnienia, o czym piosenka nie będzie, a później nieoczekiwanie włącza się głos dziecka.

Ale są też lepsze fragmenty. Zwłaszcza jeśli – zamiast wsłuchiwać się w teksty – skupimy się na muzyce. Niektóre melodie można nawet polubić. Przykładem „1:16 w nocy” – choć nie zawsze na tyle, aby dało się cały album ocenić wyżej.

W materiałach promocyjnych Vorbrodt mówi, że w duchu jest perkusistką. Nie twierdzą, że skupienie się wyłącznie na perkusji wyszłoby jej na dobre, ale swój repertuar wokalny powinna dopracować. ■

Grzegorz Walenda



Rykarda Parasol Against The Sun

Rykarda Parasol 2013

Muzyka: ●●●○○

Realizacja: ●●●○○

Rykarda Parasol brzmi trochę jak artystyczny pseudonim, ale to prawdziwe nazwisko amerykańskiej piosenkarki polsko-szwedzkiego pochodzenia. Nosi je po ojcu, Ryszardzie Parasolu.

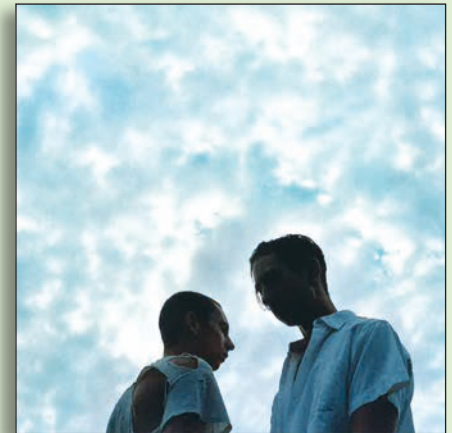
Artystka dotąd nie była u nas szczególnie znana, chociaż za Atlantykiem zdążyła wydać dwa albumy: „Our Hearts First Meet” (2006) i „For Blood and Wine” (2009).

Repertuar na nowej płycie jest w pełni autorski, podobnie jak wykonania. Rykarda nie tylko śpiewa, ale również akompaniuje sobie, głównie na gitarze i fortepianie. Czasami też pogwizduje („Withdrawal Feathers and All”) lub stuka na instrumentach perkusyjnych („The Cloak of Comedy”). Jest wprawdzie kilku innych muzyków, ale tylko dla okras, bo króluje akustyczna gitara, tworząca podstawę akompaniamentu. Na jej tle rozbrzmiewa mocny, dobrze postawiony głos bohaterki płyty. I to on stanowi podstawową atrakcję.

Słabiej wypada strona kompozycyjna. Nawet po kilku przesłuchaniach trudno znaleźć wpadającą w ucho melodię lub przynajmniej taką, do której chciałoby się wrócić. Jeśli jednak miałbym konieczność coś wybrać, to chyba „The Art of Liberté”, w rytmie na trzy. Nieźle też rozwija się „Island of the Dead (O Mi, O My)”, o ile nie przeszkadza dołączający tekst, zaczynający się od słów: „To świetne miejsce, o ile nie masz nic przeciwko samotności...”

W sumie sprawnie zrealizowana akustyczna płyta niezłej wokalistki, choć bez rewelacji. ■

Grzegorz Walenda



Inc. No World

4AD 2013

Dystrybucja: Sonic Records

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●○○

Inc. to duet, który tworzą bracia Andrew i Daniel Aged. „No World” to ich debiut płytowy.

Nagrania nie są nowatorskie, a i melodie nie zapadają w pamięć. Mimo to płyty słucha się z przyjemnością, a wykonawcy ustrzegli się repertuarowych wpadek.

Króluje spokojna elektronika, przy której można czytać lub uciąć sobie drzemkę. Nie ma też natarczywego podkładu perkusyjnego, więc szanse, że jakaś zaskakująca rytmiczna zagrywka słuchacza obudzi, są znikome. Ale nie jest to też typowy „muzak”, bo czasami jednak coś zwraca uwagę. Raz są to łagodne współbrzmienia delikatnych głosów wokalistów, balansujące na granicy falsetu. To znowu pojawia się jakiś ciekawy pasaż na klawiszach czy fragment tekstu.

W nagraniach Inc. jest sporo odniesień do stylu new romantic, do new wave, a nawet do rhythm and bluesa. W utworze „Trust (Hell Below)” słychać nawet coś z Prince’a. Nabywcy „No World” – a powinno ich być sporo, bo kompakt na stronie duetu można kupić za jedyne 12 dolarów (winyl jest tylko o 2 dolary droższy) – będą prawdopodobnie niecierpliwie czekać na następną propozycję muzyków. Jeśli do poprawnego instrumentalno-wokalnego rzemiosła bracia Aged dodadzą trochę magii, efekt może być wyjątkowy. ■

Grzegorz Walenda



Ben Folds Five
The Sound Of The Life Of The Mind

Ben Folds 2012

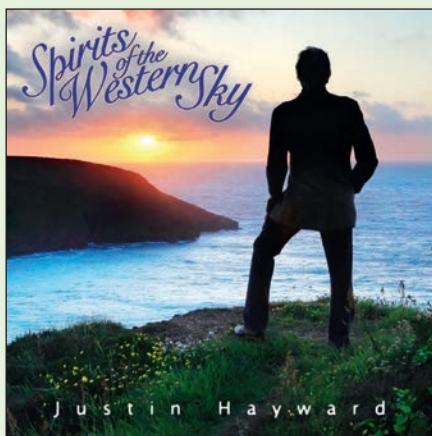
Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Ben Folds Five to amerykańscy przedstawiciele alternatywnego rocka. Mimo piątki w nazwie, założona w 1993 roku grupa składa się z trzech muzyków – lidera Bena Foldsa (główny kompozytor, pianista i wokalista), Roberta Sledge’a (bas, syntezator, chórki) i perkusisty Darrena Jessee (kompozycje i chórki).

„The Sound Of The Life Of The Mind” to ich czwarty wspólny album i od razu dodam, że rewelacyjny. Od fantastycznego nagrania „Erase Me”, z popisowym wokalem Folds, przechodzącym w falset, po melancholijną balladę „Thank You For Breaking My Heart”, z urokliwymi fortepianowymi pasażami, na zakończenie.

Pomiędzy tymi dwiema perełkami – ciekawe nagrania. Zdecydowanie wyróżnia się „On Being Frank”, taka piosenka na zawsze, którą kocha się już po pierwszym przesłuchaniu. Folds przez cały czas jest fenomenalny; zarówno kiedy śpiewa, jak i w czasie wykonywania pięknych partii na fortepianie. Sympatycy grupy Ben Folds Five doskonale wiedzą, że od roku 2000, kiedy zespół przestał wspólnie występować, lider nagrywa płyty solowe. Są one równie udane, jak krążki firmowane nazwą grupy. Nic dziwnego. W końcu to właśnie Folds jest w niej postacią pierwszoplanową. Ostatnio muzycy zatęsknili za wspólnym graniem, bo mamy ich kolejną płytę. I dobrze, bo czas spędzony w studiu na pewno nie był stracony. ■

Grzegorz Walenda



Justin Hayward
Spirits of the Western Sky

Eagle Records 2013

Dystrybucja: Mystic Production

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

Nazwisko słynne, ale szata graficzna okładki nie zapowiada cudów. I rzeczywiście: fajerków nie ma, choć nie jest aż tak źle.

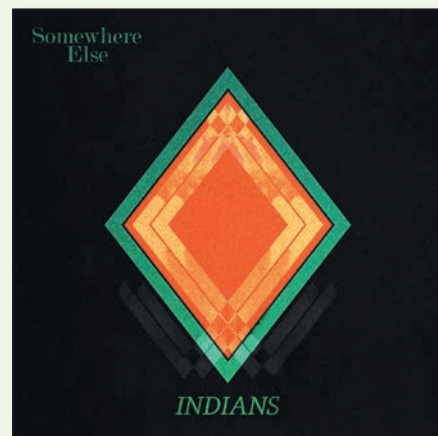
Po dłuższej przerwie słyszymy jednego z dinozaurów rocka, byłego lidera The Moody Blues. Znany głos prawie jak dawniej: czysty i dobrze postawiony. Jednak syntezatorowa orkiestra w otwierającym krążek nagraniu „In Your Blue Eyes” zakłóca pozytywny odbiór. Lepiej jest w „One Day, Someday”, gdzie mamy już prawdziwe smyczki. Przypominają się dawne rockowe czasy. Harmonie wokalne przyjemne, choć staromodne.

Wykonawca nie stworzył nic nowego. Przygotował to, za co lubią go fani; prawdopodobnie z nadzieją, że na sprawdzone brzmienia złapią się również nowi słuchacze. Zrobił to fachowo i w niezłym stylu. Do wykonania „On the Road to Love” zaprosił innego rockowego weterana, Kenny Logginsa, z którym napisał ten utwór.

W pierwszej części albumu dominuje nostalgia. Od „What You Resist Persists” atmosfera się zmienia i mamy obok siebie trzy piosenki z nutą country i slide’ową akustyczną gitarą. Polecam „Broken Dream”, w którym można docenić instrumentalne zdolności artysty. Końcówka – z balladą „Captivated By You” – bardzo poprawna.

Szkoda, że na deser Hayward przygotował dyskotekowy utwór „Out There Somewhere”. ■

Grzegorz Walenda



Indians
Somewhere Else

4AD 2013

Dystrybucja: Sonic Records

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●○○○

Pod szyldem „Indians” nagrywa i występuje duński muzyk Søren Løkke Juul. Artysta bywa przede wszystkim porównywany do Bon Ivera, jednak można się pokusić o jeszcze inne skojarzenia. Pierwsze nagranie („New”) ma sporo wspólnego z utworami Mercury Rev, grupy, która zasłynęła albumem „Deserter’s Songs”. Chodzi nie tylko o sposób prowadzenia linii melodycznej, ale też o aranżację harmonii wokalnych. A wokalista ma zbliżony do członków Mercury Rev tembr głosu. Następną piosenką – „Bird” też przypomina klimaty „Deserter’s Songs”. I tak jest prawie przez cały album.

Nie twierdzę, że Juul coś kopiuje. Melodie i treści jego kompozycji są zupełnie inne. Po prostu duński wykonawca czuje się dobrze w podobnej do Mercury Rev stylistyce. Nagrał przyjemną w odbiorze płytę. Klawisze tworzą interesujący grunt, na który artysta nakłada melodyjny wokal, ozdobiony „fruwającymi” chórkami.

Każdy utwór, może poza nieco słabszym „I Am Haunted”, brzmi atrakcyjnie. Niestety, niektóre tematy urywają się tam, gdzie dopiero powinny się rozkręcać. Czasem brakuje rozwinięcia, ale jak na debiut nie jest źle.

Pomogłaby lepsza realizacja, bo brzmienie jest płaskie i wyostrzone. Przypomina trochę dźwięk komórkowych „czasoumiłaczy”. Jeśli tak miało być, to czekam na lepsze pomysły akustyczne na następnej płycie Indians. ■

Grzegorz Walenda